

JÓZEF LASOŃ.

KWATERA Nr. 150.

(Ze wspomnień Legionisty).

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

IX.

Przez zakratowane okno widać padające, białe płatki śniegu, jakby ptaków rajskich puch, coraz gęściej z niebios się syjący. Iskrzy się śnieżny płatek, jak dyament mieni — uchwycisz go w dłoń, kropelka wody — i nic. Zniknie ci jak sen, rozplynie się w kropkę wody, jak duch w mgłę.

Sypie się płatek za płatkiem, szara ziemia szata się białą okrywa, jakby na ślubne kobierce wstąpić miała z umieszczoną w przestworzach niebieskich planetą, z księżycem.

Grudniowy, piękny poranek.

Na aresztankiej pryczy legło nas kilkunastu z zadowoleniem, bo i piec blisko, ciepłej jest. Na ziemi słomy moc, kilkudziesięciu śpi na niej żołnierzy. Choć już i słońce wyjrzało i dzień jasny się rozpoczął, żołnierz leniwie rozwalony wypoczywa. Wypoczynkowa to kwatera.

„Stary Sąd, kwatera nr. 150“.

Grube, stare mury chronią od zimna, ciepło tu i błogo. Sala ta, jak widać, do połowy na areszt służyła, w drugiej kancelarya musiała być umieszczona, bo i okna duże, światła wiele wpuszczały, podczas gdy druga połowa zaledwie jedno okienko podwójną kratą opatrzone miała.

Teraz z niej kwatera wypoczynkowa, polski żołnierz po trudach i znojach w niej odpoczywa, aby do dalszej walki siły nabrać!

— Ośma godzina, wstawać — woła komendant kwatery Berek — po śniadanie trzeba iść. Dyżurny zrzucać wszystkich z legowisk, porządek robić!

Ale dyżurny chrapie jak najlepiej. Nie wzruszają go ani prośby, ani groźby kwatermistrza, dopiero pociągnięty gwałtownie za nogę, przeciera oczy, zaspianym wzrokiem ciągnie wokół.

— Niby, co jest? — pyta.

— Dyżur dziś na was przypada! Wstawać, budzić wszystkich, po śniadanie iść trzeba.

— Dobrze, dobrze — odpowiada i kładzie się z powrotem na słomę.

— Chuderski! auf! auf! Tu nima śpasu — krzyczy nad nim.

Wstaje nareszcie, ostro się zabiera do wylegających żołnierzy, przemocą zrzuca z posłania, mrużąc:

— Ja nie śpię, nie będziecie i wy spać!

Słomę równiutko układając, zamiata salę, przez otwarte okna wpada prąd świeżego powietrza, odświeża ją. Już wszyscy powstałi, czyszczą menażki, tylko my na pryczy leżymy, gdyż to uprzywilejowane miejsce. Sama starszyna tutaj wyleguje się, ba, nawet trzy sienniki są i koce do nich. Królewskie to ci spanie. Wprawdzie na tych gołych deskach trochę twardo spać, ale bezpiecznie... blondynki i brunetki nie napastują cię tak, jak tam na ziemi, na słomie.

Wyznaczeni dyżurni z kuchni, będącej przy rynku w Jabłonkowie, przynieśli dwa kotły herbaty i chleb. Ale i przy wydawaniu trzeba porządek utrzymać. Godzik usiadł za stołem, notuje, kto dostał swoją porcję, Chuderski zaś wywija chochlą w powietrzu, udziela herbaty i podaje nazwisko biorącego Godzikowi.

— Jak się nazywacie? — pyta świeżo biorącego.

Ten jednak czy nie zrozumiał pytania, czy też z figlów odpowiedział:

— Danke schön!...

— Zapiszcie tam — zwraca się Chuderski do Godzika — Teraz wziął obywatel Dankeschön!

Naturalnie śmiech powstał na sali, Chuderski patrzy się na nich, jak na waryatów, w końcu i on zrozumiał, o co idzie.

— Dankeschön, zapiszcie tam — nabierają go.

— Cóż, nie może tak się nazywać?

— Ależ może! może! — zapewniam go — nawet tak jest zapisany.

Napalono w olbrzymim, żelaznym piecu, ciepło przyjemne rozchodzi się po kwaterze. Na pryczy kilkunastu leży, opowieści i przygody zaczynają wzajem opowiadać.

Godzik przy oknie siadł, lipowe skrzypki ujął w dłoń i płyną tęskne, żalosne melodye. Przesuwają mi się postacie żołnierskie przed oczyma.

Ten cichy, spokojny, rysujący coś kredkami na

arkuszu papieru młodzian, to Zarzycki. Patrząc na jasne jego oczy, ma się wrażenie, że dziecięcia to wzrok. A dzielny to żołnierz. Pod Laskami w październiku, z plutonem wstrzymał półtorej kompanii piechoty nieprzyjacielskiej, póki pomoc nie nadeszła. Siedmiu ich z plutonu zostało.

Płyną powoli godziny, opowiadaniem przygód urozmaicone.

Grottgerowski to zaiste obraz! Żywy grottgerowski obraz: Stare więzienie, w nim polski żołnierz zadumany, broń zamienił na skrzypce, tam znów grupka, żywo przygody swoje opowiadająca. Przez okratowane okno promyki słoneczne przekradają się i przebiegają po twarzach żołnierzy. W pośrodku nowozacieczny rekrucik, Słazak, karabinem macha, uczy się z zajęciem, bo chce jak najprędzej w pole wyruszyć.

Zdaje mi się czasami, że w carskich kamazatach siedzim, szyldwach z nabitym karabinem chodzi pod oknem, że za naszą sprawę w więzieniu gnijem. To znów — że w podziemiach narada się rozpoczyna, tajne sprzysiężenie, szepczą i szepczą, broń na wroga kuja.

Na wroga — tajne sprzysiężenie!

Przy piecu kilku siedzi, opowiadają wzajem przygody. Wysoki, kościsty, Skiba, szeregowiec z I pułku, rozkłada rękami, o przeżytych dniach w niewoli rosyjskiej opowiada.

— Wiecie, pod Laskami, przy odwrocie obtarłem sobie nogi, tak, że kroku postąpić nie mogłem, kompania moja żwawo maszerowała, początkowo podążyć chciałem z nimi, ale niesposób. Siadłem przy rowie, zdeterminowany ze wszystkiego. Iść dalej nie mogę, nogi strasznie dokuczają, a tu lada chwila Moskale mogą nadciągnąć i już po mnie. Postanowiłem odpocząć trochę, a potem dostać się do najbliższej wsi, ubranie cywilne kupić i powoli wydostać się z linii ognia. Na przypadek zaś, gdyby zaszli tu Moskale, postanowiłem się bronić do ostatniego naboju. Znużenie jednak ogarnęło mnie i zasnąłem. Jak długo spałem, nie wiem, dość, że późno już w noc było, kiedy przebudziły mnie krzyki i szarpnięcia za rękę i głowę. Przestraszony chciałem się zerwać, silne jednak ręce przytrzymały mnie, zciągnięto ze mnie pas z bagnietem, tornister, zrewidowano kieszenie. Wpadłem w ręce moskiewskiej patroli. Bodaż ich pokreśliło, co te szelmy ze mną wyrabiały. Po długich ceremoniach dostałem się z partą jeńców do Jarosławia. Ja i dwóch jeszcze żołnierzy austriackich spaliliśmy w stodole, przez cały czas transportu nasłuchawszy się rozmaitych docinek i wyrażań od prowadzących nas żołnierzy, snuliśmy smutne obrazy przyszłych dni, które przepełnimy Bóg wie gdzie, i w jakich warunkach. Stodoła była murowana, szczelnie zamknięta, wydostać się z niej nie łatwo było, a zresztą żołnierz na warcie stał, i w razie najmniejszego podejrzenia pośle nam parę pigulek, a to wcale nie należy do przyjemności. Zasypialiśmy, kiedy od strony miasta doszły nas strzały, początkowo pojedyncze, potem salwami.

— Oho — szepnął leżący obok mnie żołnierz — zdaje się, że nasi napadli Jarosław, trzeba będzie spróbować, może się uda dać nura.

Przysunęliśmy się ku drzwiom stodoły, przez szpary obserwowaliśmy chodzącego na warcie żołnierza. Strzały zrobiły i na nim kolosalne wrażenie, bo chodził nerwowo koło stodoły, bacznie obserwując wokoło, nadśluchiwał, skąd one pochodzą. Coraz wyraźniej dały się słyszeć strzały karabinowe. Nie namyślał się długo dzielny rosyjski wartownik. Dał drapaką, zostawiając nas na łasce losu. Sądził widocznie, że my sobie sami poradzimy i nie omylił się. Zaraz chwyciliśmy się do roboty. We trójkę chcieliśmy drzwi wyważyć, ale silnie zaparte były i na kłódkę zamknięte. Jeden z żołnierzy znalazł kawał grubego kołka od płotu, podźwignęliśmy drzwi w górę, wyskoczyły z zawias i z łoskotem upadły na ziemię. Niedługo wpadliśmy w ręce naszej patroli, która nas odstawiała do pułków.

— Dobrze ci tam było... He? — odezwał się któryś.

— Bodażby! — zaklął Skiba — przez trzy dni oprócz pół bochenka chleba, nic my nie dostali, a w dodatku, co chwila cię upewniali o swojej przychylności. Aż się niektórym z nich oczy świeciły, kiedy się dowiedzieli że Strzelec, taką chrapkę mieli na mój żywot.

Kwatermistrz Berek przy stole siedzi, ukończył pisać raport do komendy, wyciągnął z plecaka brulion i dalej piosnki pisać. To cały jego najmilejszy odpoczynek. Z nieodstępnym brulionem wszędzie chodzi, gdzie jaką piosnkę usłyszy, notuje skrzętnie, czasami sam tworzy. Zwykle pod wieczór, po przeprowadzonym apelu, koło stołu kilku się zbierało, Berek wyciąga brulion i niby z niechęcią pyta:

— Chcecie, co? Odczytać wam, com dziś napisał?!

— Naturalnie! Naturalnie! — odzywają się głosy. Oddycha głęboko, wiedzie wzrokiem po swoich podwładnych i w dowód łaski swej raczy odczytywać swoje utwory. Każde tam słowo o Ojczyźnie, o miłości Ojczyzny. Wiara słucha go z zajęciem, póki nie skończy całosci. Majestatycznie zamyka brulion i do plecaka chce wpakować. Ale w wzroku jego widać, że ma on tam coś jeszcze napisane, tylko się boi, by ich nie znudzić, czeka, aby go poprosić. Ale swój swego zna.

— No, Berku, dalej czytajcie, bo tam jeszcze jest coś?

— E! to... takie... nic! — odpowiada niby niechętnie.

— Ale czytajcie! czytajcie!

— No, kiedy tak koniecznie chcecie, no to wam odczytam, ale spokój musi być!

— Sza... sza... sza... — uciszają grających w szachy i sprzeczekających się.

Berek nadyma się „odwala kument“, jak to, niektórzy nazywają, a potem rozprawka o tem, co „wycisnął z duszy“. Tak bowiem nieodstępny towarzysz jego Kranc nazywał wszelkie piosnki.

Pocziwy to towarzysz broni. Ze wszystkim do niego się zgłosisz — radę, pomoc zawsze da. Szczera, polska natura.

Chodzi też po sali, przysłuchuje się opowiadaniom siedzących pod piecem.

— Hej, chłopcy! — po chwili odezwał się — nowinę wam powiem!

— Jaką? Jaką? — ciekawie dopytują.

— Żołd będzie!!

— Co żołd! Hurra! Do ataku! — krzyczą i podrzucają Berka do góry. — Niech żyje Berek i żołd.

— Nie wiem kiedy, czy dziś, czy jutro, ale w tym tygodniu z pewnością!

— Ale wiecie, wiecie! — twierdzą, widząc uśmiechnięte oblicze Berka.

— No tak. Dziś będzie, tylko spis muszę dać! Radosne okrzyki były odpowiedzią.

Podchodzi do mnie Weiss, żandarm połowy i dalej groźnie mamrotać językiem:

— Obywatelu, zapraszam na bal! Z okazji uroczystości, wydaję bal i połowiznę przeznaczam na uroczysty obchód.

Obraca się wyniośle, królewską przybiera pozę i zwraca się do Kulczyka:

— Sekretarzu Pierścionku, na aksamitnym papierze, jedwabnymi zgłoskami wydrukuj odpowiednie zaproszenie, dla dostojnych gości, których ci butem wskażę, albowiem obie ręce na temblaku noszę! Ale zaznaczam z góry — zwrócił się do otaczających go obywateli — li tylko tego za godnego uznaję, kto się szlachectwem wykaże, czyli wyraźniej mówiąc, doloży się z pieniędzmi.

Kilku przyłączyło się do nas i rozpoczęło się przygotowanie do balu.

Szeroko omówiono program i z niecierpliwością czekano na powrót kwatermistrza, który do komendy udał się po żołd.

Za ten czas przyjmować poczęliśmy wizyty codziennych gości. Punktualnie o godzinie 10-ej rano zjawiała się postać nadobnej kucharki „od państwa z góry“ z zapytaniem, czy herbaty nie chcemy ugotować, bo w kuchni jest ogień, tylko nastawić wody trzeba. Amatorów na „czaj“ nigdy nie brakowało. Podziękowawszy z góry za dobroć, zamówiliśmy dwa kociołki wody, tylko olbrzymich rozmiarów, z powodu balu, który dziś ma się odbyć.

— Cóż to, imieniny panowie odprawiacie, czy jakąś uroczystość — pyta zaciekawiona kucharka!

— O, gorzej! — odzywają się głosy.

— Gorzej! A cóż to takiego? — wielce zaintrygowana pyta.

— Od dnia dzisiejszego — odpowiada swawolnie Weiss — aż po dzień, póki nam zginąć nie przyjdzie, lub póki w stanie zbrojnym będziemy, żołd będzie nam wypłacon, aby drobiazgi zawsze były, jako to: tytoń, mydło, „czaj“ i inne tego rodzaju przyjemności!

— A tak! — uśmiechnięta odpowie i leci chyżo na górę do pani, aby zdać jej „raport“.

Po chwili pukanie we drzwi, silne, znajome. Leci jeden i drugi, aby drzwi otworzyć, zacnemu gościowi się przysłużyć. To codzienny nasz gość, który obdarza nas papierosami, fabrykant tutek z Krakowa pan B.

— Dzień dobry, chłopcy! — uśmiechnięty mówi.

— Cześć! Cześć! — rozlegają się głosy.

Przy stoliku usiadł, rozmowę toczy z nami, dopytuje się o szczegóły walk.

— Widziałem 63 rok — opowiada nam smutnie — i Bóg mi pozwolił dożyć do tego roku, gdzie znowu widzę polskiego żołnierza.

Siwa jego głowa pochyła się w zamyśleniu. Po